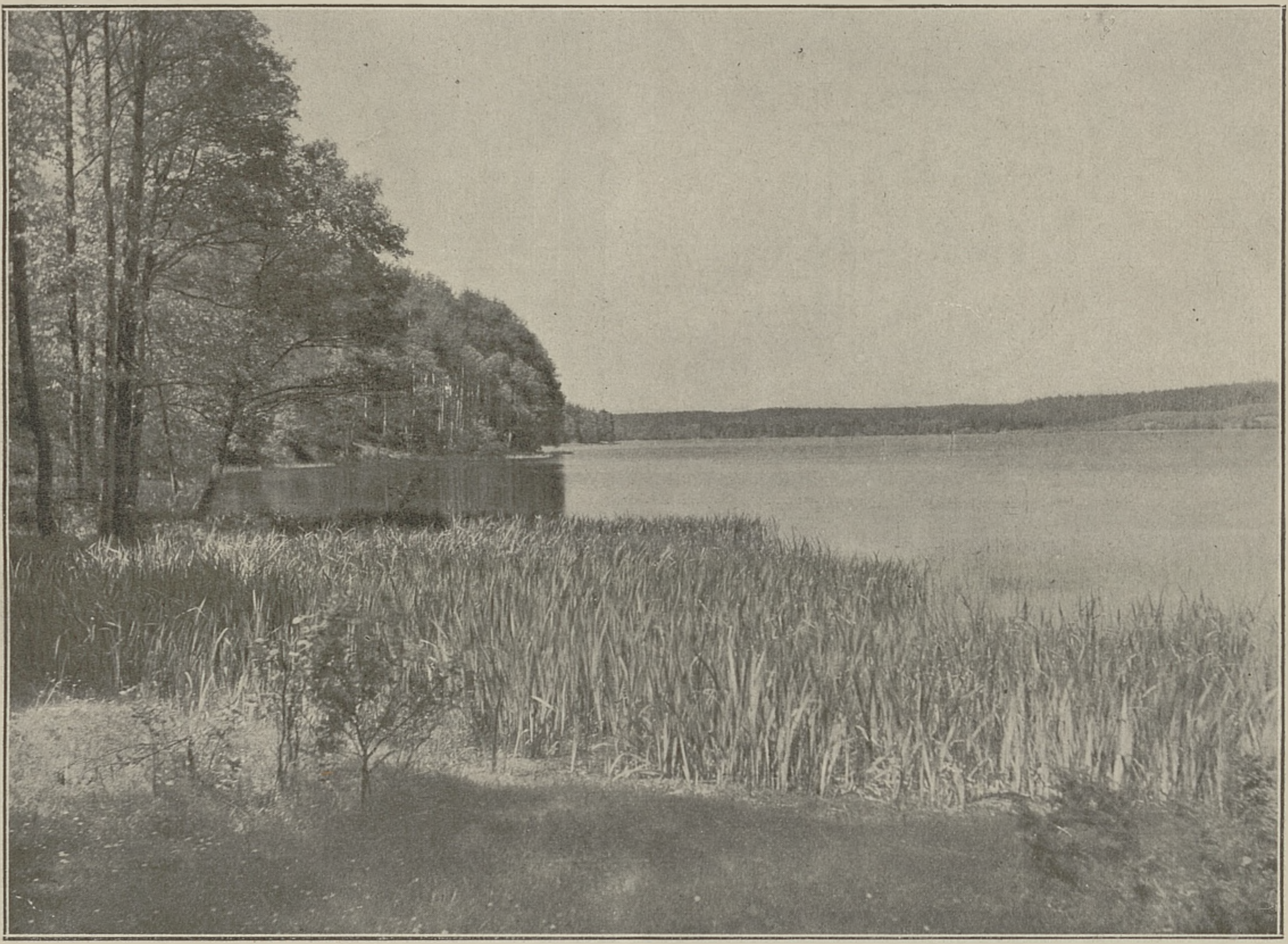
ŁOWIEC POLSKI



Jezioro Wielkie Partęciny, miejsce lęgowe dzikich łabędzi. Fot. L. Pęski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 20 (574). 17 MAJA 1930 R.

Gęś a kaczka.

Nauczycielka: — Jaka jest różnica między gęsią a kaczką?
Mania: — Można powiedzieć „głupia gęś", ale nie mówi się „głupia kaczka".



Widok na jezioro Wdzydze. Ulubione miejsce dzikich łabędzi. Fot. L. Pęski.

DZIKI ŁABĘDŹ I CZARNY BOCIAN.

Wiele!... bardzo nawet wiele, pisze się i mówi o ochronie zwierzyny, zwłaszcza wielki nacisk się kładzie na ochronę konieczną tych gatunków zwierząt, które są prawie w zaniku.

Tworzą się coraz to nowe towarzystwa łowieckie z przepięknemi hasłami i zamiarami: „nietylko być łowcem strzelającym do zwierzyny w celu zdobycia trofeów, lecz także, aby roztoczyć opiekę nad tą zwierzyną, zadając jej karm w długie, głodne i śnieżne dnie zimowe".

Spotykamy się też w pismach tak fachowych jak i codziennych, z chwalebnymi opisami zakładanych towarzystw z wielkiemi nadziejami na przyszłość, jednakże gdy się wejrzy w rzeczywistość, to okazuje się, że nie wszędzie obietnice i zamiary idą w parze z wykonaniem.

Sprawa jednak ochrony zwierzyny wchodzi na właściwe tory i choć dziś może więcej się o niej pisze niż robi, to jednak trudny początek zrobiony i dziś kulejąca jeszcze ze wszechmiar kwestja racjonalnej hodowli i ochrony zwierza łownego i rzadkiego, daje prawo do przypuszczenia, że głosy podniesione w prasie w sprawach łowiectwa, przez ogół szerszy zrozumiane i przyjęte zostaną, a nawoływania te nie będą głosem bez echa.

Wszystkie te zapatrywania moje wyżej przytoczone, może nawet w zbyt czarnych kolorach, pobudziły mnie do podniesienia sprawy bardzo ważnej i dziś na czasie, mianowicie sprawy ochrony „dzikich łabędzi" i „czarnych bocianów".

Gdy słonko wiosenne ożywcze swe promienie na zmrożoną ziemię poślę, a bujne życie zakwitnie i radosnym gwarem rozbrzmiewać zacznie wśród naszych jezior, rzek i łąk, czas jest najwłaściwszy otoczyć opieką przybyszy powracających z dalekich stron do swych starych siedzib.

Łabędź miłujący przedewszystkiem ciszę i spokój, zwłaszcza w porze lęgowej, wymaga opieki i bezwzględnego spokoju, i dziś dzikie łabędzie coraz rzadziej się spotykają w większych ilościach na naszych jeziorach w całej Rzeczypospolitej Polski, nietylko dlatego, że padają od strzałów niekulturalnych łowców, lub kłusowników, lecz i dlatego, że z powodu braku spokoju ulatują dalej, szukając ciszy.

W tem krótkiem wezwaniu chcę zwrócić uwagę na zanikający coraz bardziej stan dzikich łabędzi na naszych jeziorach pomorskich, które jak gdyby były stworzone dla mnożenia się tych przecudnych ptaków.

Jeziora te bowiem, otoczone lasami, brzegi swe ma-

ją porośnięte gęstymi szuwarami, znakomitem miejscem dla lęgu.

To też dziś jeszcze, choć coraz mniej i rzadziej, spotykają się dzikie łabędzie, rokrocznie przebywające na wielkich jeziorach w powiecie brodnickim na jeziorze „Wielkie Partęciny", jeziorze „Wdzydzkiem" i jeziorze „Czarnem" powiatu starogardzkiego.

Istnieje groźba, że z powodu braku opieki, prastare swe siedziby łabędzie opuszczą na zawsze.

Czas więc najwyższy pamiętać o tem i zwrócić uwagę na zanikające, przepiękne ptaki, „dzikie łabędzie", krasę i ozdobę naszych jezior.

Drugim, skazanym na zagładę ptakiem już niełownym, lecz rzadko spotykanym w naszym kraju, jest „czarny bocian".

I te ptaki do dziś jeszcze, choć rzadko, zjawiają się nad brzegami rzek i na łąkach pomorskich, leżących wśród olbrzymich borów tucholskich.

Widzimy czarnego bociana nad rzekami Czarna Woda w powiecie starogardzkim, gdzie znajdują się wielkie obszary łąk; nad brzegami Wdy, gdzie bociany te znajdują obfite pożywienie, a pomimo że są nader ostrożne, padają nieraz jednak od strzału kłusowników, a jeszcze częściej przygodnego łowca, który właściwie nie powinien mieć prawa noszenia broni ani posiadania karty myśliwskiej.

I tu zwracam się do kogo to należy, aby, gdy na wiosnę zawitają do nas czarni, skrzydlaci goście, zechcieli wydać rozporządzenie wzbraniające pod karą, niepokojenia i strzelania tych rzadkich u nas ptaków.

LEON PĘSKI.

Polowanie na czarne bociany jest zabronione przez artykuł 48 obowiązującego prawa łowieckiego. Aktualną byłaby jedynie sprawa ochrony łabędzi w miejscach lęgowych.

(Przyp. Red.).



Rzeka Czarna. Ulubione miejsce czarnych łabędzi. (Do art. „Dziki łabędź"). Fot. L. Pęski.

TOKI, CIĄGI SŁONEK I PRZYLOT KACZEK TEGOROCZNY NA POLESIU.

I.

Aura znowu nie dopisała, przynajmniej w rejonie Sarn, gdzie jak zwykle, na terenach najgościnniejszych p. p. szambelanostwa Szyczewskich, oraz prezesostwa Bohusz-Szyszko, przeżywałem swoje wiosenne, łowieckie gody. W okresie 7 — 20 kwietnia miałem zaledwie trzy ładne poranki. Reszta, pożal się Boże! — wiatry, śnieg, deszcz i inne abominacje!... Głuszce podobno rozpoczęły swe misterja jeszcze w pierwszej połowie marca i podczas pięknych dni tego miesiąca grały doskonale, później — przerwały na jakie dziesięć dni z powodu zgrzytów atmosferycznych. Cietrzewie bełkotały już w lutym zawzięcie po drzewach, — na regularne tokowiska poczęły się gromadzić z początkiem następnego miesiąca. Kiedy

przybyłem na miejsce, „urogallusy" zdawały się nieco „przemęczone" od harców wiosennych, robiąc wrażenie już bardzo „spracowanych" tak długotrwałą erotyką, a co zatem „od niechcenia" grających. Nawet na tak pieczołowicie ochranianych terenach Izbic, uroczej rezydencji państwa Adolfostwa Bohuszów-Szyszko — pod kustodją sympatycznego i sprężystego strażnika łowieckiego, Józefa Fabera grały już bardzo słabo! Jeszcze kilka dni przedtem, podczas bytności mego najmilszego kompana długoletnich, Wierzchowieńskich i innych polowań, p. Józefa Steckiego, były pełne animuszu i werwy młodzieńczej! Ale natenczas, gdy sługa kochanych czytelników zjechał do tych błogosławionych rewirów — niestety, zastał już łabędzią pieśń, li tylko ostatki normalnych hejnałów!... Pomimo, że głuszyce kwoktały jeszcze zalotnie, — prowokując zapędy miłosne lubieżnych trubadurów,—groch o ścianę!... Klapie, klapie tylko zawzięcie, zmęczony rycerz, — odśpiewa dwie, trzy pieśni i... „citus mutus"... aż do chwili zlotu ku powabnym bogdankom!... Rozpacz, jednem słowem, i nic więcej. To też podziwiać trzeba, że wobec podobnych warunków padło jednakże kilka sztuk królewskich ptaków, z których, aż dwa na tyle trudnych i niedostępnych łowiskach „Pohoni" z ręki dzielnego myśliwego, p. Szyczewskiego juniora! Pocieszającym jest objawem stale powiększający się etat tych cudnych ptaków na tutejszych terenach. Reasumując: wiosna dla toków głuszcowych była bynajmniej nie pierwszej klasy! Cóż robić!? — może następne, jeśli Bóg da doczekać i św. Hubert pobłogosławi, będą lepszymi!... Dożyjemy?!... zobaczymy!...

II.

Toki cietrzewie za to były wyśmienite! Dusza i serce rosną od widoku stale i znacznie wzrastającej na Polesiu, od lat kilku począwszy, ilości tych ślicznych ptaków. Pamiętam, jak to jeszcze za czasów przedwojennych liczba liroogoniastych poczęła przerażająco ubywać, nie mówiąc już o okresie „bezkrwawej" rewolucji rosyjskiej i tak zwanej „swobody" chłopskiej!... Przypisywano to rozmaitym powodom, mówiono nawet o masowych otruciach gazami na teatrze działań wojennych!

Nie pamiętam już, jaka mianowicie zima przed 1914 rokiem, oraz inna po wojnie — odznaczały się swą śnieżnością, połączoną z szeregiem gwałtownych odwilży z wieczora i silnymi przymrozkami nad ranem. Cietrzewie, które, jak wiadomo, w taką pogodę w śnieg się zakopują, — pozostawały, biedactwa, literalnie „zablokowanymi" w swych nocnych kwaterach!... Znajdowano, jak rozpowiadali mi gajowi, dziesiątkami później szczątki nieszczęsnych teterukow, zmarźniętych na kość. Smutne zaiste i bolesne skutki bezdusznej aury. Tymczasem teraz, pomimo mroźnej zimy 28 — 29 roku, nie zdarzały się podobne, atmosferyczne zjawiska, i cietrzewie, które wytrzymują chociażby 60° Reaumura (jak naprzykład na Syberji niemal rokrocznie), przetrwały szczęśliwie to wszystko i rozmnażać poczęły się w szalonem tempie na poleskich obszarach.

To też dusza myśliwska rozpływała się z radości, widząc, że tam, gdzie zaledwie z trudnością i dobrym legawcem odnaleźć można było podczas



„Czarna woda". (Do art. „Dziki łabędź"). Fot. L. Pęski.

dawniejszych polowań parę stadek farbowików-murzynów, — w ubiegłem spotykało się 8 — 10 pięknych wywodków. Bagatela! Deo gratias i świętemu Hubertowi też. Obecnie zaś wiosną, aż roiło się od granatem szmelcowanych, czarnych rycerzy. Tokowiska, na które wylatywało w roku zeszłym 2 — 3 koguty, w bieżącym ukazywały się w ilości 10 — 15 osobników. Nie mówiąc już o wspaniałych turniejach złożonych z 50 — 60 sztuk, jako w słynnych Katerynkach pana Michała Peretjatkowicza, czy też w Zaostrowiu pp. Szyczewskich, a które i w innych miejscach napotkać można było, — w latach ubiegłych, na palcach liczono zakątki podobne, dziś delektować się można było wbród rozkoszą niesamowitą w niejednym rejonie Polesia starego, to też, nie dziw, jeśli w ciągu tygodnia padło do dwudziestu okazów, a mogłoby paść dwa razy tyle, gdyby nie zawsze dobrze ustawione budki. Jeśli da Bóg, lęgi będą pomyślne, to ciecieruków na lato będzie zatrzęsienie na Polesiu, jak długie i szerokie.

III.

Ciągi słonek były w sezonie bieżącym daleko obfitsze od zeszłorocznych. Mimo że wietrzne wieczory mocno przeszkadzały, długodziobych obserwować można było znacznie więcej. Animusz ich do tych wieczorowych wycieczek był o tyle rzetelny, że nawet pamiętam jedną burzliwą bardzo noc, podczas której tak zwane po polesku „weselyki-żorawi" z powodu „niegody" nad ranem się nie odezwały, jednakże słyszałem na podchodzie głuszca wyśmienicie chrapiącą słonkę. Pierwszy raz w życiu coś podobnego spostrzegłem.

Dobitny to dowód, że scolopax'ów było obficie i że widocznie przelot jesienno - wiosenny odbył się bez znacznych ofiar reflektorów nowoczesnych latarń morskich, to jest miał miejsce podczas widnych nocy księżycowych, a nie w egipskich ciemnościach, czarnym welonem ziemię naszą biedną otulających, w mrokach których ginie tak potężny odsetek tajemniczych „dames aux longs becs". I nie ich jednych tylko, a tyle i tyle innych z tych żywych uśmiechów matki przyrody, które pospolicie ptaszkami nazywamy.

Niejedna, nieszczęsna główka o twarde szkła aparatów oświetlających rozbita została, niejedno biedne serduszko ptasie bić przestaje, w zimny snop światła prożektorów elektrycznych trafiwszy. Promienie nadziei dla jednych, zgubę nieraz innym niosą, niestety; taki to już los okrutny niejednego źródła ognistego szczęścia na tym tu płaczu padole. Oprócz tego, oczywiście także ubytek słonek od chciwości kulturalnych europejczyków był też mniejszy w tym roku, aczkolwiek zima lekka, więc zatrzymywały się dłużej, goszcząc w krajach, w których czyhają na nie kohorty całe pseudo-myśliwych, w żelazne przyrządy do łapania nawet uzbrojone. Lecz natura ma swe niezbadane metody ochrony, o których nie śniło się nawet żadnemu uczonemu. Fakt ten jednakże podkreślić mogę z całą pewnością, że długodziobych było znacznie więcej, nie mówiąc już o spokrewnionych kszykach (Scolopax gallinago), — od których aż roiło się w błotach i niemal na moczarze każdym. Rankami, jak komary, szybowały bystrolotne bekasy, a powietrze aż drgało od buczenia sterówek tych, tak miłych ptaszków. Niech św. Hubert ma was w swojej świętej opiece, crescite et multiplicamini, przyszłe nasze, drogie trofea letnie!

IV.

Po tylu radosnych relacjach muszę, niestety, przyjść do daleko smutniejszych, mianowicie: ród kaczek przyniósł mi nader bolesne rozczarowanie. Jeśli w roku zeszłym było ich niewiele, to obecną wiosną poprostu, katastrofalnie mało. Przynajmniej w tych rejonach (wybornych zwykle), na których polowałem. Jadąc taką rzeką, Lwą zwaną, płynącą śród morza łoziny, rokitników, ciemnych olszniaków, w warunkach wprost idealnych dla kaczych ostoi, tam, gdzie zeszłego roku mogłem strzelać do 15 — 20 kaczorów, teraz raptem podejmowałem 2 — 3 pary cyranek i tyleż krzyżówek. Horrendum! Na banalnych błotkach, brodkach, jeziorkach, — wieczorami też na ciągach i podsłuchach, kaczki kompletnie vacat. Bardzo rzadko wpadało w ucho, milsze dla myśliwego od melodyj Mozarta, kwaknięcie sprośnego kaczora, czy też trzeszczenie cyraneczki. A wody tak mało w tym roku na Polesiu, a rozlewy rzek tak skąpe. Ileż to jajecznic wyzbierają poczciwi pastuszkowie i ich zacne kundelki, mając łatwy dostęp do każdej prawie kępinki. Aż strach robi się od czarnych horoskopów na sezon letni. Ale kto wie, może, właśnie z tego powodu kaczki będą zmuszone wybierać dla swych miejsc lęgowych pewne najniedostępniejsze zakątki, ratując tem swe potomstwo, podczas gdy w czasie szerokich rozlewów, volens-nolens muszą się lokować na suchszych, więc dostępniejszych dla złego człowieka miejscach. Chi lo sa? Mądrość wszechstworza wyratować może zawsze wszelką sytuację. Zresztą, jeśli Bóg pozwoli, zobaczymy!

V.

Pozostaje mi złożyć moją podziękę najmilszym gospodarzom błogosławionych terenów, szambelanowstwu Szyczewskim, prezesostwu Bohusz-Szyszko, za otwarty przez nich dla mnie skarbiec rozkoszy łowieckich, za wypoczynek radosny, nabranie sił nowych śród tak pięknych rewirów, dla twardej walki życiowej.

Kto, jako starożytny Anteusz, rękę swą strudzoną do świętej matki ziemi przyłoży, w tego jestestwo całe niezwykły hart ducha i tężnzna nowa wstępują!

Za nasycenie się tymi życiodajnymi pierwiastkami im to więc, czcigodnym amfitrjonom, serdeczną wdzięczność składam oraz, jak zawsze, św. Hubertowi cześć, wieczyście mu należną.

ADAM RZEWUSKI.



WYPRAWA NA NIEDŹWIEDZIA.

Dokończenie (Zob. Nr. 19).

Wjeżdżaliśmy teraz w lasy karpackie, ciągnące się już bez przerwy po obu stronach szosy. Droga wciąż podnosiła się w górę. Z nastaniem ciemności woźnice pozapalali po jednej latarni u powozów i raźniej jęli przemawiać do koni. Często zwracali się z różnemi, głośnemi pytaniami do nas i między sobą. Widocznie chcieli dodać sobie odwagi na tej pustej i dzikiej drodze. Chociaż wtedy o napadach i bandytach nikt nie słyszał, to jednak broń mieliśmy w pogotowiu, bo tu z wilkami łatwo się było spotkać.

Nie spał już nikt, chociaż konie ledwo się poruszały. Bez żadnych zresztą przygód, około 9-ej wieczorem, wjechaliśmy do Turki.

W mieście na rynku stał olbrzymi, parterowy, drewniany budynek, stawiany na modłę karczem polskich; przed nim stanęli nasi woźnice. Był to jedyny hotel-zajazd, restauracja i kawiarnia dla miasta powiatowego i okolic. Istny korab Noego, tem podobniejszy do biblijnej arki, od karczmy z „Pana Tadeusza", że stanął, jak gdyby dopiero co po potopie, przybiwszy do polskiego brzegu. Połowa bowiem budynku stała jeszcze na wodzie górskiego potoku, który szumiał i bryzgał pianą, rozbijając się o pale, na których spoczywały belki zrębu tego ciekawego budynku.

Budowa taka miała dla higjeny i czystości tę dogodność, że wszelkie śmiecie i odpadki dostawały się wprost do bieżącej wody, która unosiła je za miasto.

Gdy nasi woźnice z hałasem i trzaskaniem z batów wjechali w otwartą bramę sieni zajazdu, wyszedł na nasze spotkanie gospodarz karczmy, żyd, wspaniałej postaci i tuszy, ośmdziesięcioletni starzec z siwą, długą brodą, starannie utrzymaną. — Ubrany był w atłasowy, czarny, długi żupan spięty jedwabnym pasem, w krótkie, czarne, bufiaste spodnie i białe pończochy. Na nogach miał płytkie trzewiki ze srebrną klamrą. Głowę nakrywała jedwabna „jarmułka". Była to postać jakby wyjęta z obrazów biblijnych.

Uchyliwszy lekko nakrycia głowy, jął nas zapraszać do pokojów, oznajmiając, że uprzedzony czeka na nas z wieczerzą. Najważniejszą jednak dla nas nowiną było, że konie do dalszej jazdy są już od rana w zajeździe. Raźno więc wysiedliśmy z niewygodnych drynd, udając się do przygotowanych pokoi. Przy wieczerzy, nadspodziewanie dobrej i obfitej, zapomnieliśmy zupełnie o niewygodach.

Gospodarz zapytał dyskretnie, czy nie zechcielibyśmy spróbować tokaju z jego piwnicy. Trudno nam było odmówić takiej propozycji, bez namysłu zgodziliśmy się na nią. Wkrótce na stole stanęły dwie litrowe flasze, niezwykłego kształtu, całe okryte pleśnią i mchem. Pękate korpusy i długie, lejkowate szyjki flasz zachęcały do zapoznania się z tem, co w sobie kryją. Sam gospodarz ze czcią i wielką ostrożnością odkorkował butelki i napełnił kryształowe, spore kielichy gęstym jak oliwa, płynem, nie zapominając również o swoim.

W tej chwili, jakby pod dotknięciem różdżki czarodzieja, zjawili się w sali cygańscy muzykanci.

Kapela cygańska składała się z trzech skrzypiec i z cymbałów.

Kapelmistrz, krępy, stary cygan z długimi, kruczymi włosami spadającymi w lokach na ramiona, w aksamitnym, wiśniowego koloru spencerku, ze srebrnymi guzami, w obcisłych spodniach i huzarskich, ozdobnych butach, skłonił się całemu towarzystwu, postąpił do naszego stołu i ująwszy swe skrzypce pod brodę, schylił w bok głowę, pociągając wolno smyczkiem po strunach. Załkała cicha, tęskna i tkliwa melodja „Lassu", pierwszej części czardasza. Przed naszemi oczami przesuwać się jęły wizje scen, z których przed wiekami zrodziły się te tęskne tony. Noc. — Księżyc oświeca „Pusztę" naddunajską. Madjarska horda najezdników rozbiła tu swe namioty. Przed jednym z nich siedzi młody madjar. Twarz jego o rysach mongolskich, lecz pięknych. Madjar marzy i tęskni do swej wybranej, pozostałej na wozach hordy, w tyle za armją, między kobietami i dziećmi. W nadrzecznych łozach słychać śpiew słowika. Młody wojownik, którego piersi pod wpływem tych słowiczych tonów wzbiera tęsknota, nuci rzewną piosnkę o swej ukochanej. Cichy jego śpiew zlewa się w jeden akord z pieniem słowiczem. Te pełne głębokiej tęsknoty tony płyną wdal po pustym stepie. Nagle śpiew ten cichy i omdlewający w tonacji zagrzmiał potężnym akordem. „Primus" (kapelmistrz) wyprostowywa swą pochyloną do tej pory głowę, lewą nogę wysuwa naprzód i z rozmachem wodzi smyczkiem po strunach skrzypiec. Zabrzmiały gromkie i raźne tony drugiej części czardasza „Triski", przy akompanjamencie całej kapeli. — Słychać tentent koni pędzących po suchym stepie, wpółnadzy jeźdźcy siedzą na oklep na dzikich koniach i z dzidami w ręku gonią na obóz słowian. Słychać rozdzierające krzyki wojowników, szczęk oręża i rżenie koni, jęki rannych. Chaos i wir tonów wypływa teraz z cygańskich instrumentów. — Bitwa skończona zwycięstwem najeźdźców nad swarliwymi i niezgodnymi słowianami.

Nadjeżdżają pozostawione za armją na wozach kobiety. Upojeni zwycięstwem wojownicy tańczą wraz z przybyłemi kobietami. Szał wzmaga się stopniowo, takty muzyki grzmią w tempie coraz szybszem i głośniejszem. Czardasz dochodzi do granic obłąkania i dzikiego szału.

Wzburzona, mongolska krew, podsycana tokajem i wdziękami kobiet, w tańcu narodowym czardasza uwydatnia swoje rasowe właściwości, swą zapalną i namiętną naturę.

Kto nie widział madjara tańczącego czardasza, nie może nabrać należytego pojęcia o tym narodzie.

Na wesołej zabawie zeszło nam dobrze do północy. Wspomniawszy jednak jutrzejszą podróż, śpiesznie opuściliśmy salę, by udać się na spoczynek.



Bażantarnia p. Fr. Gniazdowskiego w Warpalicach p. Rypinem.
Fot. Jerzy Prądzyński.

Mieliśmy jeszcze do przebycia zwyż pięćdziesiąt klm. i to częściowo fatalnej drogi; należałoby się śpieszyć, by przed nocą stanąć na miejscu. Po śniadaniu, dwoma górskimi wózkami zaprzęgniętymi w krępe, silne mierzyny, ruszyliśmy w dalszą podróż. Deszcz padał nieustannie. Zawinięci w burki z kapturami, jechaliśmy raźno szosą prowadzącą do Boryni.

Minąwszy Borynię, większą osadę górską, wjechaliśmy na grzbiet działu wodnego dorzeczy Dniestru i Wisły. Szosa biegła sklepieniem zlewiska wód Czarnego Morza i Bałtyku.

W tej wysokości, zamiast deszczu, sypał gęsty śnieg, który leżał na drodze grubą warstwą. Jazda kołowa stawała się coraz uciążliwszą. Konie zmęczne brodzeniem w śniegu, wlokły się wolno, po dość stromej pochyłości drogi, która teraz bez przerwy wznosiła się ku przełęczy granicznej. Koło wsi Sianek, gdzie bierze początek San, ostatniego osiedla po polskiej stronie, zjechaliśmy z szosy na prywatną, górską drogę. Kto nie jeździł w Karpatach drogami bocznemi, łączącemi rzadko rozrzucone wsie górskie, ten nie może pojąć, na jakie niebezpieczeństwo jest się tam narażony. Drogi prowadzą z reguły wzdłuż potoków, które wyżłobiły swe kręte koryta między górami. Często droga wiesza się nad przepastną ścianą i jest tak wązka, że zaledwie wystarcza na szerokość wozu. Nieraz jedno koło wozu zawisa na moment nad przepaścią, gdy trafi na wyrwę przerywającą wpoprzek drogę. Często od strony wzgórza, przy którem tuli się drożyna, obrywają się wielkie głazy i z szaloną szybkością lecą na drogę. — Biada tym, których dosięgną! Czasem zasypują drogę rumowiska, usunięte z uboczy. Jazda po tych zwałach szutru i kamieni wymaga wielkiej wprawy i przytomności. Należy wciąż szukać przeciwwagi, by nie wypaść w przepaść z chybocącego się jak kołyska, wozu. Po takiej drodze jechaliśmy wśród wzmagających się ciemności, obmokli, zziębnięci i głodni, złorzecząc w duchu naszym myśliwskim porywom i oczekując z duszą na ramieniu chwili, w której stoczymy się w jakąś przepaść. Ale wszystko kończy się na tym świecie, i droga nasza dobiegała końca.

Niebawem zjeżdżaliśmy ze stromej pochyłości, jak z pieca na łeb. Konie przysiadły na zadach, zapierając się wystawionemi naprzód, przedniemi nogami. Dyszel wzniósł się do góry i sterczał, jak maszt u łodzi, a my z wozem, wśród krzyku przestraszonych śmiertelnie pań, sunęliśmy ze wzrastającą szybkością na dół, do huczącego potoka. Skończyło się jednak szczęśliwie tylko na strachu. Zjechaliśmy bez wypadku na dno potoka, po którym wkrótce dobiliśmy do celu naszej podróży. Wśród ujadania zgrai psów wjechaliśmy przed ganek obszernego, drewnianego domu zamieszkanego przez właściciela rozległych lasów i tartaków w tym niedostępnym, górskim zakątku.

Przy sutej wieczerzy, gdy kielichy ognistego węgrzyna rozgrzały nasze zziębnięte członki, to, cośmy przed paru godzinami przechodzili, zdawało się snem i przywidzeniem.

Jak się w toku rozmowy dowiedziałem, gospodarz sam nie był myśliwym, lubił jednak bardzo podejmować myśliwych w swym gościnnym domu i urządzać polowania w swoich kniejach. Ta wiadomość wydała mi się niezbyt pocieszającą, gdyż miałem pewne uprzedzenie do polowań, w których urządzający nie bierze sam udziału.

Dowiedzieliśmy się również, że niedźwiedź, dla którego w te strony przybyliśmy, okazał się o tyle niegrzecznym, że wyniósł się niewiadomo gdzie, nie czekając na nasze odwiedziny. Wnioskowałem, że psy gończe u gospodarza niemyśliwego, źle strzeżone, a może nieracjonalnie karmione, zaniepokoiły niedźwiedzia i spowodowały do poniechania obranego na zimowlę, miejsca. Przypuszczenie to, zdaje się, było trafne.

Knieja, gdzie miał przebywać niedźwiedź, leżała blisko dworu, który był ostatnią, ludzką siedzibą na tej wysokości. Dalej od dworu w górę ciągnęły się lasy i połoniny, aż do samego grzbietu stanowiącego granicę z Węgrami. Gościnny gospodarz zapewniał nas, że gdy tylko w nocy ustanie śnieżyca, to polowanie po ponowie może być jaknajlpsze. Są bowiem w kniei jelenie, sarny, lisy i wilki, a nawet ryś trafić się może. Śnieg jednak nie przestawał padać i sypało jak z worka. Trwało to tak bez przerwy przez dwie następne doby. Przez ten czas nie wychodziliśmy za próg domu. Tańce przy dźwiękach pianina, gra w karty, wesołe pogadanki i opowiadania, tak nam czas zajęły, że zapomnieliśmy o celu naszej wyprawy i o mądrym niedźwiedziu, który siedział gdzieś w mateczniku, zasypany puszystym śniegiem. — Trzeciego dnia wreszcie się wypogodziło. Okazało się jednak że spadła tak gruba warstwa śniegu, iż wyjść z domu

trudno, i należy przeczekać chociaż jedną dobę, aby śnieg się uleżał i stężał. Przez ten czas i wygłodzony zwierz ruszy się po kniei i łatwiej będzie psom znaleźć go i iść za tropem. Nie było innej rady, czekaliśmy cierpliwie następną dobę.

Nareszcie rano czwartego dnia, wyruszyliśmy skoro świt w kilkoro sań do oddalonej parę kilometrów od dworu gajówki, skąd po spożyciu śniadania mieliśmy wyjść na stanowiska. Służba leśna już wcześniej ruszyła z psami, by zajść pod wiatr z przeciwnej strony i podłożyć pieski. Po godzinie jazdy kopną drogą, stanęliśmy przed mieszkaniem gajowego. Chata, zbudowana z grubych, jodłowych bali w zakład na gęsią łapę, była typową budowlą w tych odległych stronach i nie różniła się w niczem od mieszkań tutejszych chłopów. Stromy dach bez komina pokrywały w pozdłuż, zczerniałe od dymu dranice. Była to kurna chata, jaką prawdopodobnie stawiali jeszcze mieszkańcy lasów w epoce kamiennej. Wnętrze jej składało się z jednej obszernej izby, opatrzonej tylko maleńkiem okienkiem od frontu, — i z sieni, której część przegrodzona ścianą, stanowiła komorę do przechowywania niezbędnych zapasów jadła i sprzętów. W jednym rogu izby stał niski, kamienny trzon, na którym gorzał ogień. Dym z ogniska zawisał równą, ciemną warstwą pod powałą, na wysokość głowy dorosłego mężczyzny. Gdyśmy weszli do chaty, najwyższy z nas musiał pochylić głowę, by nie udusić się w dymie, niżej jednak powietrze było dość czyste i zupełnie od dymu wolne. Dym z izby wychodził otworem w ścianie do sieni. a stamtąd na strych przez otwór w powale. Ostatecznie przekonałem się, że powietrze w tych chatach było o wiele czystsze i lepsze, niż w chatach chłopskich na Podolu, opatrzonych wprawdzie kominami, jednak tak niskich, że głową sięga się do powały, a przytem o wiele mniejszych i wilgotnych.

Po śniadaniu, gdyśmy mieli wychodzić, jeden z naszych towarzyszy, tak niezręcznie manipulował coś przy swoim amerykańskim „Colcie", że karabinek wypalił, a kula na szczęście, nie trafiwszy nikogo, przebiła gruby bal ściany i wyszła nazewnątrz. Było to złą wróżbą dla naszej wyprawy.

Po dość stromej pochyłości „szczołba", po którego bokach ciągnęły się parowy, gęste, zarosłe iglastym lasem, grzęznąc nieraz do pasa w śniegu, piąłem się w górę, zanim dosiągłem złamanego, olbrzymiego buka, który według wskazań prowadzącego polowanie leśniczego, był mojem stanowiskiem. Im wyżej wspinałem się w górę, lasy jodłowe rzedły, a na ich miejsce występowały olbrzymie buki; przy końcu granicy leśnej, miast kosówki, znalazłem tylko karłowatą, w dziwaczne kształty powyginaną, obrosłą długim, zielonawo-szarym porostem, buczynę.

W tych czasach lasy pod szczytami granicznymi gór nie miały prawie żadnej wartości, z powodu oddalenia od kolei i z braku możliwych do przewozu, dróg. Sprzedawano całe partje lasów w tej okolicy z prawem dowolnego wyrębu buków na kilka lat, za opłatą pięćdziesięciu centów od sztuki! Jodły i świerki, które rosły niżej, jako materjał tartaczny i budulcowy, miały o wiele większą wartość.

Stanąwszy na oznaczonem miejscu, rozpatrywałem się w terenie, szukając najdogodniejszego punktu, z którego mógłbym objąć wzrokiem możliwie największe pole do strzału, nie będąc sam na widoku. Parów, który się ciągnął od podnóża góry, kończył się tu, zataczając łuk pod skalistą ścianą. Na zgięciu tego łuku obrałem stanowisko.

Grobowa cisza zaległa tę, śniegiem zawaloną, podniebną pustynię. Nigdzie śladu żywej istoty nie mogłem dojrzeć. Czasem tylko lekki szmer spadającego z gałęzi, śniegu mącił spokój, pobudzając mój słuch do większej baczności. Pogrążony w zamyśleniu, oczekując czegoś niezwykłego, co przerwie tę martwotę, stałem bez ruchu, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu.



Jeleń 10-tak zabity 26.9.29 przez dyr. Zygmunta Frączkowskiego w Boruszynku woj. poznańskiem.
Fot. dr. Hautermans.

I stałbym tak wieki, gdyby nie raptowny dreszcz, który przebudził mnie z zadumy, oraz dojmujące zimno w nogi, które teraz dopiero odczuwałem. Sięgnąłem do manierki; tęgi łyk koniaku oprzytomnił mię i rozgrzał członki. Spojrzałem na zegarek i przekonałem się ze zdumieniem, że już przeszło 4 godziny stałem nieruchomy w oczekiwaniu na zwierzynę, której tu śladu niebyło. Wahałem się jednak jeszcze, co z sobą począć. Zejść nadół, bez danego sygnału, nie pozwalała mi reguła myśliwska, stać tu do nocy nie miałem ochoty. Na tem wahaniu zeszło mi z pół godziny czasu. Wreszcie, nie znalazłszy nic lepszego, pośpiesznie jąłem schodzić w dół, po własnych śladach.

U wejścia do lasu zastałem całe towarzystwo; przed chwilą zeszli się i badali, co się działo w kniei wtedy, gdy stali na stanowiskach. Ci, co stali niżej, słyszeli sygnały dane przez szczwaczy, z chwilą puszczenia sfory w kniei, i granie psów na tropie zwierzyny. Trwało to jednak chwilę. Potem nastąpiła niczem niezamącona cisza. Skutkiem tego, że gruba warstwa puszystego śniegu leżała na gałęziach drzew, głos ginął stłumiony i tylko na nieznaczną odległość mógł się rozchodzić. Psy, jak się okazało, trafiły na trop po-

strzelonej kiedyś sarny, dopadły ją, zagryzły i wyprawiły sobie wspaniałą ucztę, racząc się najspokojniej ciepłem mięsem; po uczcie najedzone pieski urządziły sjestę, nie troszcząc się o myśliwych. Tak zeszedł nam pierwszy dzień łowów na upatrzonego niedźwiedzia.

Nic dziwnego, że wróciliśmy z tego polowania w niebardzo różowych humorach, pocieszając się, że jutrzejsze wypadnie lepiej.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy w kilkoro sań pod dość oddalony grzbiet „Wołosatego". Nadzieja, że dzień dzisiejszy da nam możność spotkania się z grubym zwierzem, napawała nas radością. Dzień był cichy, jasny i mroźny, jak wymarzony do polowania. Śnieg przez tę noc osiadł się już znacznie, można więc było liczyć na to, że psy i ludzie łatwo będą mogli poruszać się w lesie.

Na stanowiska jechaliśmy saniami, wązką drożyną leśną, aż pod samą połoninę. Mnie znów wypadło ostatnie stanowisko tuż pod szczytem góry. Stojąc na stanowisku, wkrótce złowiłem natężonym słuchem, dalekie echa rogu myśliwskiego; był to znak ,że psy puszczono.

Stanąłem nieruchomy, śledząc bacznie słuchem i wzrokiem najmniejszy szmer i ruch w swojem otoczeniu. Niebawem usłyszałem odgłos strzału, ale z głębi kniei, a nie ze stanowisk myśliwych. Doszły mię również dalekie echa zgrai goniących psów.

Po chwili doszedł mych uszów cichy odgłos kroków, z lewej strony mego stanowiska. Skierowałem w tym kierunku wzrok z przygotowaną bronią do strzału. Czułem głośne bicie serca, które mąciło mi słuch. Naraz — mignęło mi coś szarego między drzewami.

Bez namysłu podniosłem błyskawicznie broń do składu i nie zdając sobie sprawy, do czego mierzę, strzeliłem. Dym zasłonił mi widok, — gdy się rozszedł, ujrzałem bure ciało zabitego zwierza i poznałem, że mam przed sobą piękny okaz karpackiego wilka. Cofnąłem się szybko na stanowisko, oczekując końca akcji leśnego dramatu. Po jakiej godzinie padł daleki strzał, jeden i drugi, gdzieś na stanowiskach w dole. I znów zaległa głęboka cisza. Po niejakimś czasie usłyszałem róg leśniczego, dający znak zboru i koniec polowania. Tym razem mieliśmy na rozkładzie wilka i jelenia ubitego przez mego sąsiada. Choć nie spotkaliśmy się z niedźwiedziem, wracaliśmy tym razem zadowoleni, wioząc pierwsze w życiu trofea,— na nizinach niespotykanej przez nas zwierzyny.

Przy obiedzie gospodarz oznajmił nam radosną nowinę. Niedźwiedzia otropiono w lasach po węgierskiej stronie. Dzierżawca polowania, dobry znajomy naszego gospodarza, prosi o przysłanie psów i zaprasza myśliwych o przybycie. Rano więc śpieszymy na węgierską stronę. Dzień mamy jasny, i słaby przymrozek. Wkrótce dojeżdżamy do szosy i spuszczamy się w dół po bardzo pochyłej przełęczy, wiodącej do Użoka. Droga przez jedenaście klm. wije się jak wąż, w splotach serpentyny, wykutej w stromej ścianie górskiego grzbietu. Co krok widok się zmienia, jak w kalejdoskopie. Jeden z myśliwych, z którym zająłem miejsce w saniach, opowiadał nam ciekawe zdarzenia myśliwskie, które przytrafiały się na tej drodze przed paru laty:

Pewien myśliwy poszedł na słonki w maliniaki i raptem ujrzał przechodzącą niedźwiedzicę. Bez namysłu strzelił zbliska śrutem i ciężko ją ranił. Niedźwiedzica, nie atakując myśliwego, poszła dalej w gąszcze. Myśliwy wraca do domu, bierze kule i sztucer, a do pomocy miejscowego wójta, który już niejednego niedźwiedzia położył. Weszli w las i, odnalazłszy tropy ranionej, szli za nimi. Wtem, niespodziewanie z boku zaczajona niedźwiedzica runęła na myśliwego i zwaliwszy go na ziemię, szarpać poczęła kłami i pazurami. Wójt strzelił ze swej pojedynki kabzlówki, lecz chybił i jął w przerażeniu piąć się na pobliskie drzewo. Niedźwiedzica zaś w dalszym ciągu rozszarpywała nieszczęśliwego. Wójt, gdy ochłonął z przerażenia, chciał nabić swój gruchot, lecz spostrzegł niestety, że nasada u kominka odłamała się i kabzli założyć nie można. Musiał więc być do końca biernym świadkiem grozą przejmującej sceny.

Gdy niedźwiedzica, literalnie na drobne kawałki porozdzierała ubranie i ciało biedaka, a wymachując na wszystkie strony łbem, porozrzucała je wokoło, — oddaliła się powoli w las; wójt zlazł z drzewa i pobiegł zwołać ludzi, którzy pozbierali do worka szczątki pozostałe z nieszczęśliwego łowca. Zarządzono obławę na niedźwiedzicę, lecz ani zabitej, ani żywej nie znaleziono. — W jakiś czas po tym tragicznym wypadku wracał z Użoku późnym wieczorem pewien leśniczy do domu. Trochę podchmielony drzemał w wózku, trzymając obok nabity kulą sztucer. Woźnica spostrzegł, że konie niespokojnie strzygą uszami, więc musi być coś niezwykłego w pobliżu. Strwożony ogląda się i widzi, jak przez las naprzełaj ku gościńcowi sunie kosmata, brunatna postać. Przestraszony, zwraca się do swego pana, szepcąc: Panie, niedźwiedzica...

Zbudzony myśliwy podąża nieprzytomnym wzrokiem we wskazanym kierunku i widzi rzeczywiście kudłatą, brunatną bestję wspinającą się po uboczy.— Nie namyślając się długo, mierzy i strzela. Jakież jednak było przerażenie niefortunnego strzelca, gdy po strzale, zamiast ryku niedźwiedzia, słyszy błagalny głos ludzi: „Panku, ne strylajte, to ja". — Niedźwiedziem tym był bowiem słowak, w kudłatej guni, której bardzo długie rękawy sięgające prawie do ziemi, zszyte na końcach, służą słowakom jako sakwy, gdyż gunię noszą na ramionach, a rękawy z frendzlami są tylko ozdobą, której używają jako torb podróżnych. Czapka futrzana z podniesionemi na uszy klapami, dopełniła reszty złudzenia, które potęgował strach przed srogą niedźwiedzicą z Boryni i zaprószona głowa myśliwego. Na szczęście skończyło się na obopólnym strachu, kula bowiem przebiła tylko rękaw guni słowaka, pełen kukurydzianej mąki. Zamiast czerwonej farby misia, sypnęła się tylko żółta mąka z zadanej rany.

Zabawiani opowiadaniem o przygodach myśliwskich, stanęliśmy niebawem przed domem dzierżawcy polowania w Użoku. Czekano na nas z niecierpliwością. Zapoznawszy się z gospodarzem i gronem węgierskich myśliwych, ruszyliśmy wnet do kniei.

W niespełna godzinę dojechaliśmy do miejsca, gdzie odbyć się miało ciekawe polowanie na otropionego niedźwiedzia.

Stałem nad stromym jarem, mniejwięcej w połowie linji zajętej przez myśliwych. Niebawem od prawej strony, gdzieś daleko w dole, odezwało się granie psów gończych, a po chwili doszło do mych uszu ja-

kieś stłumione tętnienie i sapanie, które z lewej strony nadchodziło coraz to wyraźniej. Wytężyłem wzrok w tę stronę i niebawem ujrzałem brunatną masę, która szybko pomykała z góry w dół, skośnie do mego stanowiska. W pierwszym momencie nie byłem pewny, co mam przed sobą, i z zapartym oddechem stałem gotów do strzału. Nie czułem trwogi, choć spostrzegłem już, że to wspaniały niedźwiedź szybko zbliża się ku mnie. Początkowo biegł prosto z góry w dół, drugą stroną parowu, potem skręcił nagle w bok i biegł równolegle do linji stanowisk. Zorjentowałem się szybko, że gdy minie mnie, nie przyjdę już do strzału.

Odległość między mną a pomykającym zwierzem była stosunkowo za wielka na pewny i celny strzał, wynosiła bowiem w linji powietrznej zwyż dwieście kroków. Na ówczesną broń stanowczo za daleko. Zaryzykowałem jednak i w chwili, gdy miałem niedźwiedzia wprost przed sobą, na odkrytem miejscu, zmierzyłem w komorę i strzeliłem. Widziałem, że po strzale niedźwiedź zaznaczył, lecz nie zwolnił biegu ani kierunku, i w mgnieniu oka znikł mi za drzewami. Nabiłem szybko broń i stałem bezradny. Wkrótce zjawiły się psy i zaczęły silniej głosić i szybciej posuwać się za tropem. Widocznie niedźwiedź farbuje i kto wie, czy psy go nie osaczą. Jako przykładny myśliwy, nie opuszczałem stanowiska, choć byłem przekonany, że dla mnie polowanie się skończyło. Usłyszałem jeszcze dalekie strzały, a potem zaległa grobowa cisza. — Po pewnym czasie daremnego oczekiwania, zeszło nas się kilku z pobliskich stanowisk i paląc papierosy, oczekiwaliśmy na resztę myśliwych, którzy z niewiadomych nam powodów przez czas dłuższy nie przychodzili. Wtem niedaleko na leśnej drożynie zagrały myśliwskie rogi triumfalnym chórem i za chwilę ujrzeliśmy, idący z góry, cały orszak myśliwski. Na czele postępowało czterech leśnych, dmących w rogi, za nimi szedł dzierżawca polowania w umajonym zielenią kapeluszu, dalej kroczyło czterech gajowych, niosąc na długim, jodłowym drągu ubitego niedźwiedzia. Niedźwiedź miał związane tylne i przednie łapy smyczami i przez nie przesunięty drążek, którego końce wsparte były na ramionach gajowych. Z tyłu szły na smyczach rwące się psy, prowadzone przez szczwaczy.

Gdy ten wspaniały, myśliwski pochód zrównał się z nami, grzmiące dalekiem echem, Vivat i Eljen, rozległo się po lesie.

Gratulowaliśmy gospodarzowi polowania, gdyż to on dwoma celnymi strzałami ubił niedźwiedzia. Pochwała i mnie się dostała, bo choć strzał mój na zbytnią odległość nie był celny i nie zranił śmiertelnie zwierza, to jednak, jak się przekonano, kula z mego sztućca przebiła nawskroś mięśnie grzbietowe nad łopatkami. Niedźwiedź krwawił silnie i osłabł tak, że z pewnością byłby wkrótce przez psy osaczony i przez podchodzących za głosem psów, myśliwych ubity. Bez mego strzału mógł się wynieść z kniei i ujść na zawsze. Po powrocie do Użoka zaproszeni byliśmy na obiad, który podano w pięknej sali domu kuracyjnego. Toastom nie było końca. Pito i moje zdrowie, jako współpogromcy niedźwiedzia. Pito również zdrowie „Bratanków Polaków" („Lengel Madiar baraton") Niech żyją Polacy, — bracia Madiarów! Zmadjaryzowany słowak, którego miałem za sąsiada przy stole, opowiadał mi ciekawą historję olbrzymiej statuy Herkulesa, którą widziałem przy wjeździe do Użoka, stojącą na niskim piedestale u podnóża góry.

Statua ta, olbrzymiej, bo zwyż 4 m. wysokości, odlana z bronzu, nadzwyczaj artystycznej roboty, zaciekawiła mię bardzo tem, że stała na tak nieodpowiedniem dla siebie miejscu.

Według opowiadania słowaka, Herkules ten zdobił przedtem magnacki park w pewnym zamku, w głębi Węgier. Była to kopja statuy starożytnej, znajdującej się w Rzymie.

Kiedy rosjanie w 48 roku odchodzili z Węgier, generał rosyjski zabrał Herkulesa, aby go wywieść do Moskwy. Zbudowano do tego celu specjalny wóz i w dwanaście par wołów wieziono statuę.

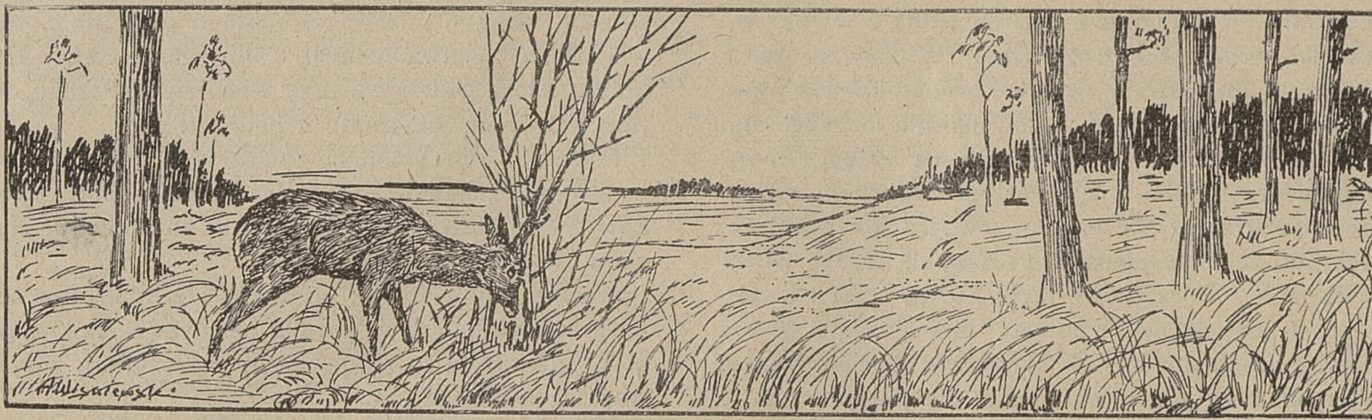
W owych czasach nie było jeszcze bitej drogi, ani dzisiejszej serpentyny na przełęczy użockiej. Bardzo stroma, pełna wyboi, gliniasta droga ciągnęła się prawie w prostym kierunku w górę. Gdy wóz z Herkulesem znalazł się w połowie góry i woły z całych sił ciągnęły go po stromej pochyłości, pękł łańcuch, do którego jarzma z wołami były przytwierdzone. Wóz zaczął toczyć się gwałtownie w dół. Żołnierze rzucili się, by go wstrzymać, daremne jednak były ich wysiłki. Wóz z szaloną szybkością leciał po pochyłości, miażdżąc po drodze wielu sołdatów, którzy nie mieli czasu ustąpić z drogi. Herkules, upojony zwycięstwem nad Moskwą, legł wreszcie u podnóża góry, na szczątkach połamanego wozu, — zupełnie nieuszkodzony. Generał, przerażony śmiercią i kalectwem wielu sołdatów, upatrując w tem nieczystą siłę, nie próbował Herkulesa brać po raz drugi. Gdy rosjanie odeszli, mieszkańcy Użoka podjęli leżącego siłacza i ustawili go na niskim piedestale, prosząc właściciela statuy, by ją zostawił na węgierskiej granicy, jako strażnika i mściciela krzywd, jakich doznali ze strony dzikich najeźdźców.

W roku 1914, gdy wojska rosyjskie przeszły do Węgier przez Użocką przełęcz, uchodząc przed nimi, zatrzymałem się w Ungwarze. Huk armat dochodził do miasta, lecz węgrzy byli bardzo pewni siebie i spokojni. Widocznie liczyli na to, że znów Herkules węgierski obudzi się, by zwyciężyć Moskwę. Po części nie pomylili się. Rosjanie nie doszli do Ungwaru, cofnęli się po dwóch dniach za Karpaty, tym razem nie próbując brać „w plen" Herkulesa, choć teraz mogli to łatwo uczynić.

W tym samym czasie, uchodząc, jak dziki zwierz, goniony wypadkami wojennymi, znalazłem się znów na Użockiej przełęczy. Przypomniał mi się wtedy niedźwiedź i moje spotkanie z nim w tych górach. Role się zmieniły. Dziś gnany przez grozę wojny, uchodziłem sam ze strachem i trwogą, oczekując, czy gdzie kula karabinowa nie położy kresu memu życiu, lub zgraja kozacka nie weźmie mnie w obroty. Opuszczałem Ojczyznę i rodzinne pielesze, by tułać się w obcym, obojętnym, a często wrogim lesie ludzkich istot. Człowiek, który podczas wojny stał się podobny do ściganego zwierza, musiał nabrać wstrętu do polowań na zwierzynę.

Znałem myśliwych, którzy po wojnie nie wzięli strzelby do ręki.

LEON STARKIEWICZ.



REFERAT

WYGŁOSZONY W DNIU 3 LISTOPADA 1929 R. W KOZIENICACH NA WSPÓLNEJ KOLEŻEŃSKIEJ BIESIADZIE KOZIENICKIEGO KÓŁKA ŁOWIECKIEGO.

Zanim współczesne łowiectwo stało się jednym z najpiękniejszych sportów, przechodziło ono w dawnych wiekach szereg przeobrażeń i kolejnych etapów walki, jaką staczać musiał człowiek, obecny pan stworzenia, z potężną fauną przygniatającą go zarówno swą liczebnością, jak i przewagą siły fizycznej.

Była to już nie konkurecyjna walka o to panowanie nad światem, lecz walka na śmierć i życie o istnienie. Była to nieubłagana walka o byt wśród stworzeń, trwająca poprzez setki wieków i zakończona zupełnem zwycięstwem „hominis sapientis" nad zwierzęciem.

Mimo wielkiej przewagi fauny nad człowiekiem, ten ostatni posiadał w ręku najstraszniejszą oręż: posiadał r o z u m.

Trudno ustalić początek walk człowieka ze zwierzęciem, ale faktem jest, że niknie on w pomrokach dziejów archaicznych i odkąd archeologja znajduje już ślady istnienia człowieka, ustala ona, że walka ta staje się jego udziałem już w zaraniu bytu.

Człowiek epoki przedhistorycznej, nieposiadający innego oręża ponad krzemienny młot, a fauną potwornych rozmiarów otoczony, nieznający sił ani praw przyrody, nieznający jeszcze zbawczego ciepła „świętego" ognia, zamieszkujący gałęzie niebotycznych drzew i głębokie jaskinie skalne, — to dzikie, pierwotne stworzenie, uzbrojone jedynie w ów młot kamienny, przystąpić musiał do strasznej walki o byt.

Mijały lata i długie wieki, a człowiek, uzbrojony w przyrodzony rozum, zdobywał ogień, później żelazo, a każde z tych wielkich odkryć potrafił wykorzystać do swej walki. Ów święty ogień dawał mu ciepło, wytwarzał pokrzepiające nastroje, przeganiał miljardy śmiercionośnych owadów, rozpraszał ponure i groźne ciemności ostępów leśnych, dawał mu gorącą strawę, a, co najważniejsze, magiczną siłą swego boskiego blasku odstraszał zastępy dzikich, potężnych zwierząt, dając mu sen spokojny i krzepiący.

W walce tej człowiek zyskiwał coraz to nowe atuty, a szanse, zda się, nierównej walki stopniowo poprawiał. Czego dokonać nie mógł słabą w porównaniu ze zwierzęciem siłą fizyczną, tego dokonał większym, niż u wroga, natężeniem intelektu. Począł zwalczać zwierzynę nietylko za pomocą narzędzi obronnych, lecz i za pomocą potężnych dołów-pułapek, sideł, potrzasków i t. p.

Z wielkiej liczby pojmanych zwierząt nie wszystkie uśmiercał: począł on czynić próby przejednania wroga za pomocą dobrych z nim stosunków, karmiąc zgłodzone zwierzę lub opatrując jego rany.

Do pierwszych oswojonych zwierząt należy pies i kogut. Obu zaliczył do liczby stworzeń świętych, albowiem pierwotny jego umysł, nie mogąc wytłumaczyć zjawisk natury, ani stłumić w sobie przyrodzonego poczucia zabobonnego strachu przed tajemniczą ciemnią olbrzymich borów i tajemniczych odgłosów leśnej kniei, — był zaskoczony i olśniony odwagą psa, który, zabobonnych uczuć nie doznając, śmiało rzucał się ze szczekaniem przeciw tajemniczemu wrogowi, kto wie, czy nie potężnemu bóstwu leśnemu! Kogut zaś północnem swem pianiem wprowadzał do zastraszonej duszy jaskiniowca stan błogiego spokoju i świadomość, że godzina działalności złych duchów przemija i że niebawem świt promienny zajaśnieje.

W miarę wieków dalszych człowiek odnosi coraz to nowe sukcesy w tej walce i stopniowo uzyskuje zdecydowaną przewagę. Staje się powoli panem stworzenia.

Zarówno olbrzymie zmniejszenie się zwierzostanu w epoce po-lodowcowej, jak i dalsze, ludzkie odkrycia i ulepszenie uzbrojenia stanowczo przechylają szalę zwycięstwa na stronę człowieka.

W ośrodkach promieniowania kultury ludzkiej w erze przed-chrześcijańskiej zwierzę bezapelacyjnie ulega człowiekowi, a późniejsze dzieje człowieka naszej ery — to dalsza, coraz większa jego przewaga nad zwierzęciem.

Średniowiecze do czasu wynalazku broni palnej stanowi dla łowiectwa epokę przełomową i coś pośredniego pomiędzy „walką o byt" a współczesnem, czysto sportowem pojęciem łowiectwa.

Rycerze, książęta i panujący suwereni urządzają wielkie łowy, w których życie myśliwych jest jeszcze narażone na wielkie ryzyko. Łowy takie noszą jeszcze ślady „walk" ze zwierzęciem i stanowią niejako konieczność życiową. Jednakże mają już one raczej

charakter wyczynów sportowych, w których rycerze-myśliwi dają świadectwo swej odwadze i zdobywają laury sławy wśród współczesnych ludzi.

W myślistwie znajdowała ujście nagromadzona energja rycerska w chwilach, gdy z powodu braku wojny, rycerz nie mógł pomnażać swej sławy na polu walki, a turnieje dworskie tej energji wyładować widocznie nie mogły.

Wśród panujących naszych Piastów każdy niemal był myśliwym, a wśród nich szczególną sławę zyskał rycerski Bolko Krzywousty, który jeszcze jako 10-cioletni chłopiec ze sforą psów rzucał się z oszczepem na ranionego niedźwiedzia.

O ile polowania średniowieczne nosiły jeszcze charakter „walki" i stanowiły surogat bitwy na polu chwały, o tyle wynalazek broni palnej nadał myślistwu charakter wyłącznie sportowy.

Broń palna przypieczętowała zdecydowane zresztą już dawniej, zwycięstwo człowieka nad zwierzęciem.

W olbrzymich borach i niedostępnych kniejach owych czasów jest jeszcze dużo różnorodnego zwierza, lecz stanowi on już tylko przedmiot myśliwskich zapasów. Polowanie staje się źródłem przemysłu i handlu, skóry zwierząt znajdują coraz większe zapotrzebowanie, a ich mięsem prowiantuje się okoliczna ludność, a nawet całe armje przed większą wyprawą.

W roku 1409 przed bitwą pod Grunwaldem doskonale zorganizowana intendetura armji polsko-litewskiej nagromadziła nad Wisłą pod Czerwińskiem niezliczone zapasy ubitej zwierzyny, a w szczególności łosi z Puszczy Białowieskiej.

Wiek złoty naszych dziejów daje dalszą modyfikację myślistwa. Pan Mikołaj Rej z Nagłowic w swym „Żywocie poczciwego człowieka" daje nam obraz zainteresowań łowieckich ówczesnego szlachcica. Charakter tych zainteresowań jest już do dziejów współczesnych bardzo zbliżony.

Zwycięstwo człowieka nad zwierzęciem bynajmniej nie stłumiło w człowieku instynktu łowieckiego. Instynkt ten, zapoczątkowany w zaraniu historji człowieka, jest zjawiskiem przyrodzonem i tak nierozłącznem z naturą ludzką, że jest i pozostanie w człowieku aż do skończenia bytu ludzkiego. Jakkolwiek jest on niejako pozostałością instynktu zwierzęcego, lecz z biegiem rozwoju ducha ludzkiego wyszlachetniał i nabrał cech dających mu prawo obywatelstwa nawet u ludzi stojących na czele postępu i rozwoju duchowego.

W szeregu braci myśliwskiej stoją ludzie nauki, artyści, poeci, filozofowie, ludzie nieraz gołębiego serca, filantropi, zdecydowani idealiści, społecznicy i t. d.

Łowiectwo współczesne wśród niezliczonych gałęzi sportu zajmuje przodujące miejsce, a współcześni rycerze z pod znaku św. Huberta są daleko głębszymi i szczerszymi miłośnikami natury i zwierząt, niż ci, co faryzeuszowską frazeologją usiłują potępiać ten sport.

Jednakże instynkt łowiecki, należąc do rzędu cech przyrodzonych i pierwotnych natury ludzkiej, nie zawsze ujawnia się w formie szlachetnej. Nie zawsze bowiem i nie dla wszystkich to bezpośrednie obcowanie z naturą budzi szlachetne umiłowanie jej tworów. Częstokroć — niestety, — budząc w nim popędy pierwotne, zabija jednocześnie uczucia ludzkie, wytwarza sadystyczną perwersję niszczycielską i budzi zwyrodniałą namiętność do bezwzględnego rabunku stworzeń Boskich. Przedstawiciele tego rodzaju łowiectwa stanowią istną plagę natury.

Tą plagą współczesnego łowiectwa są tak zwani **kłusownicy.** Kłusownik z jakąś zwyrodniałą lubością morduje zwierzynę nietylko za pomocą swej przedpotopowej jednorurki, lecz chwyta ją w sidła, pułapki, pętle, zastawki, potrzaski, paści, w siecie, oklepce, klatki, wnyki, cewki, siłki, kulki, kluczki, kozulki i t. d. i t. d. w każdej porze dnia i nocy, w każdej porze roku, bez względu na czas lęgu, wabiąc ją po mistrzowsku i wypatrując ją w jej żerowiskach, wybierając tysiącami jaja dzikich kaczek na moczarach i błotach i t. p.

Ten zwyrodniały typ mający jednak pretensje do tytułu „myśliwego", jest, niestety, w Polsce bardzo liczny.

Ponieważ liczebność kłusowników w Polsce jest zastraszająca i każda wioska posiada conajmniej 2 — 3 tego rodzaju szkodników, przeto zachodzi poważna obawa o nasz zwierzostan, który do niedawna stanowił naszą narodową chlubę.

Rycerze z pod znaku św. Huberta, zrzeszeni w kółka łowieckie, przedewszystkiem są powołani do tego, aby zwalczać tę straszną naszą plagę. Powinniśmy pamiętać, że być wzorowym myśliwym — to nietylko polować i z dumą wpisywać do dziennika te czy inne ilości ubitej zwierzyny, lecz — i to przedewszystkiem — roztoczyć nad zwierzyną jaknajtroskliwszą opiekę.

Zasłużony działacz na polu łowiectwa, Józef Wł. Kobylański w rozprawie swej, zatytułowanej: „W obronie użytecznej zwierzyny łownej", podaje braciom myśliwym ku pamięci szereg zasadniczych przypomnień, z których ważniejsze podaję niżej w dosłownem brzmieniu, jak następuje:

a) „Myśliwym nigdy nie jest ten, kto tylko zabija, ale ten ,kto przedewszystkiem troszczy się o dobro i rozmnożenie zwierzyny. Najpierw gospodarka łowiecka, a dopiero potem wykwitem jej jest polowanie, jako smaczny i zasłużony owoc uczciwej pracy. Kto myśli inaczej, dla tego niema miejsca w szeregach wyznawców św. Huberta, ten jest złym obywatelem kraju.

b) Jeżeli miłujesz kraj i Ojczyznę swoją, pamiętaj, że łowiectwo jest skarbem narodowym, którego strzec i rozwijać należy, jeżeli nie masz być marnotrawnym synem na ojczystej grzędzie.

c) Pamiętaj, że masz czynić tak, abyś z należną dumą mógł się szczycić i chwalić polskim zwierzostanem i ojczystą kulturą łowiecką tak, jak się tem dziś szczycą inne narody świata.

d) Zasadniczym obowiązkiem myśliwego jest przestrzeganie ustawy łowieckiej, a przez to dawanie przykładu tym, którzy bagatelizują sobie sprawy myśliwskie, traktując je po macoszemu. O wszystkich dostrzeżonych wypadkach nieprzestrzegania przepisów łowieckich, zawiadamiaj policję państwową lub starostwo, lub też zainteresowanego właściciela polowania.

c) Zakładaj remizy, które są miejscem ochronnem zwierzyny.

f) Obowiązkiem mocniejszego jest nieść pomoc słabszemu. Pamiętaj, że bezbronnej i biednej zwierzynie winieneś okazać troskliwą opiekę i ochronę, tępiąc kłusownictwo, przerzedzając zwierzęta i ptaki drapieżne i strzelając włóczęgi-koty i psy na polach i w lasach.

g) Źródła pożywienia zwierzyny pożytecznej są bardzo ograniczone, wskutek czego cierpi ona głód w zimie. Zgłodzona, zbiedzona i wycieńczona — marnie przepada. Pamiętaj więc o jej dokarmianiu, zakładając lizawki-solnice, jak i zdrowe i obfite żerowiska zimowe, umieszczane pod daszkami, t. zw. paśniki. Bronuj pola pokryte krustą, by zwierzynie ułatwić dostęp do pożywienia. Opieka w formie dostarczanej paszy zatrzymuje zwierzynę w ostępach, gdzie mniej jest narażona na lufy kłusowników.

h) Opiekuj się gniazdami. Uważaj na nie w porze, gdy kosa i żniwiarka pracuje.

i) Poluj na tym samym terenie z naganką tylko raz jeden w ciągu roku.

j) Zastanawiaj się i obliczaj, jaki procent zwierzyny wolno odstrzelić.

k) Normuj stosunek samców i samic.

l) Nie strzelaj do zwierzyny dalej jak na 60 korków, gdyż inaczej postrzelona uchodzi ranna i ginie wśród wielkich cierpień i bezpożytecznie.

m) Używaj odpowiednich ładunków, które odrazu ubijają.

n) Nie oddawaj na pastwę lub tresowanie psów, by je szarpiąc, na śmierć zagryzały, lecz dobijaj je sam w sposób najmniej bolesny.

o) Powierzaj gospodarstwo myśliwskie opiece ludzi sumiennych i obowiązkowych, a przytem obeznanych z myślistwem i gospodarstwem leśnem, a nie zwyczajnym „gajowym".

p) Staraj się o ciszę w lesie w czasie lęgu.

r) Nie zakładaj żelaz ani trutek na drapieżniki w takich miejscach, gdzieby ich ofiarą mogła paść zwierzyna pożyteczna.

s) Opłacaj dobrze straż leśną i strzelców. Wyznaczaj hojne nagrody za schwytanie kłusownika. Płać „strzałowe". Wszelki pieniądz wyłożony na powyższe cele, procentuje się stokrotnie.

t) Obowiązkiem każdego myśliwca jest prenumerować i zasilać pracami pisma łowieckie, które są źródłem niezbędnych i cennych wiadomości".

Koledzy Myśliwi! Zrzeszeni w Kozienickie Kółko Łowieckie, po tak mile przeprowadzonem polowaniu, dziś w dniu 3 listopada, w dniu poświęconym Patronowi naszemu św. Hubertowi, zebrani na wspólnej, koleżeńskiej kolacji, mamy sobie uświadomić, że za tyle chwil rozkosznych, które nam daje myślistwo, winniśmy stać się wzorem myśliwych dla tych, którzy nie wiedzą, że zwierzyna jest bogactwem i chlubą narodową i że, stojąc w braterskich szeregach rycerzy św. Huberta, winniśmy przedewszystkiem pomyśleć o naszych obowiązkach wyżej przytoczonych, a przedewszystkiem o ścisłem przestrzeganiu ustawy łowieckiej i o bezwzględnem tępieniu kłusownictwa.

Wierzymy, że prezes naszego Kółka, komisarz ziemski pan Kawecki wraz z zastępcą swym, panem Ambroziewiczem, przy energicznym współudziale delegatów powiatowych P. Z. S. Ł. oraz wszystkich członków Kółka i miejscowych władz administracyjnych, nie zaniedbają niczego, aby sławna ongiś Puszcza Kozienicka zasłynęła ku chwale św. Huberta i ku chwale naszego narodowego bogactwa wspaniałem zwierzostanem.

Św. Hubertowi cześć!

Por. JERZY CZAJKOWSKI.



PRECYZJA SZTUCERÓW MYŚLIWSKICH.

Dokończenie (Zob. Nr. 19).

Jakie czynniki — w broni, wpływają na jej precyzję? Przeanalizujmy je po kolei.

A) Lufa. Sam przewód lufy — może się to wydać paradoksem — stosunkowo niewiele wpływa na precyzję. Porozummy się, chodzi nam o to, że każda lufa, przewiercona według pewnych tolerancyj, prosta, o powierzchni brózd i gwintów odpowiednio ukształtowanej, będzie prowadziła pocisk należycie. Ani drobne zmiany w kącie skrętu gwintów, ani też zmiana ilości brózd i pól, ani nawet zwężenie przewodu a więc zmniejszenie kalibru lufy nie odgrywają zbyt ważnej roli dla precyzji. Wymienimy tu kilka przykładów:

Do tego samego naboju różne firmy stosują różny

skręt gwintu, skręt różni się niekiedy o 5 do 10%, różnicy precyzji niema.

Przy naboju Mauser 8 mm. niektóre firmy niemieckie stosują kaliber lufy 7,50 mm., podczas gdy norma dla tego naboju w fabryce Mauser — mającej największe doświadczenie w tej sprawie, jest 7,89 — 7,91 mm., różnicy w precyzji na korzyść lufy węższej niema.

Długość lufy — w pewnych granicach, odgrywa również rolę dość nieznaczną, o ile dopasować ten wymiar do rodzaju prochów i pocisków użytych. Przyjęto ogólnie, że długość 55 cm. już wystarcza całkowicie do uzyskania doskonałej precyzji i wyniki osiągnięte nie różnią się zbytnio od tych, które nam zapewni lufa 75-cio centymetrowa, znamy zresztą bronie Schönauery 6,5 mm., mające lufy jeszcze znacznie krótsze: 46 cm., a odznaczające się idealną precyzją.

Natomiast rolę zasadniczą odgrywa kwestja grubości lufy, jej zewnętrznego kształtu oraz sposobu zespolenia z łożem. Poczyniono na ten temat niezmiernie rozległe i szczegółowe doświadczenia, połączone z użyciem nader pomysłowej i kosztownej aparatury, doświadczenia te można jednak, bez użycia terminów technicznych, streścić następująco:

Lufa jest stalowym drążkiem, umocowanym prawie nieruchomo u jednego końca (zamek i początek łoża), — po strzale drga ona podług pewnych prawideł. Jej wibracje, jeśli są nieskrępowane, mogą być regularne i jednakowe po każdym strzale, pocisk więc opuszcza lufę za każdym razem w tem samem jej położeniu, co zapewnia precyzję. Jeśli zaś lufa jest podparta u wylotu lub ciasno związana z nieelastycznem łożem drewnianem, lub też skrępowana przez szynę, otrzymujemy wibracje nieregularne — precyzję mniejszą. Dlatego też łoża sięgające do końca lufy — Schönauery i karabiny wojskowe, szkodzą precyzji, jeśli ich górne związanie z wylotem lufy nie jest dostatecznie luźne.

Im grubsza lufa, tem drgania są mniejsze i bardziej regularne. Bronie o większym kalibrze wymagają stosunkowo grubszej lufy, niezależnie od kwestji ciśnienia. Lepiej mieć lufę krótszą, a ciężar wykorzystać na grubsze ścianki, niż budować lufę długą, cienką i gwałtownie wibrującą.

B) Jest część lufy: komora nabojowa i stożek pocisku, która odgrywa bardzo dużą rolę w kwestji precyzji. Pocisk, przy wkładaniu naboju do lufy, nie może odrazu wrzynać się w gwinty, nie byłoby bowiem siły na zamknięcie zamka. Znajduje się on w rodzaju stożka bez gwintów, o kalibrze o tyle dużym, aby mógł się w nim swobodnie mieścić; przez ten stożek musi przeskoczyć w chwili strzału, aby wejść w gwinty. Stożek ten musi być jaknajkrótszy, ciasny i osiowo ustawiony do lufy, aby przy przeskakiwaniu nie nastąpiło skręcenie — choćby najmniejsze, osi pocisku, a gwinty ujęły go odrazu w położeniu osiowem w stosunku do lufy.

Niektóre firmy budują obecnie — dla największej precyzji, sztucery o „ciasnej komorze", do których należy dobierać dosłownie każdy nabój. Strzelec wówczas wybiera z pomiędzy naboi kupionych te, które wchodzą swobodnie do komory, inne zaś — zbyt ciasne, musi odrzucać. Jestto więc jakgdyby kalibrowanie pocisków, sprawdzanie ich dokładności. Broni takich oczywiście nie można uważać za praktyczne.

Są to pomysły dla manjaków precyzji w strzelaniu tarczowem, jednak doświadczenia takie są bardzo cenne i dla naszej wiedzy o broni użytecznej.

C) Zamek, jego dopasowanie i budowa, odgrywa dużą rolę w dziedzinie precyzji:

Bardzo szczelne dociśnięcie do lufy, wykluczenie ucieczki gazów do tyłu i ruchu łuski (rzecz trudna i kosztowna w broniach łamanych — podwójnych sztucerach). W tej dziedzinie przewagę mają sztucery ryglowe, o zamku typu wojskowego.

Silne, regularne uderzenie iglicy w spłonkę, aby zapewnić jednakowo silne i jednakowo szybkie zapalenie za każdym razem.

Krótki czas opadu iglicy, co zmniejszy do minimum czas upływający między puszczeniem do przodu iglicy czy kurka, a zapaleniem; tutaj najlepszymi nie są zamki wojskowe, z powodu długiej i ciężkiej iglicy, a zamki sztucerów bezkurkowych, oraz różne blokowe w rodzaju Martini-Francotte.

Kwestję tę omówiono nieraz — nie w krótkim artykule, lecz w obszernych tomach, musimy więc ograniczyć się tutaj do minimum, i przejdziemy odrazu **do naboi.**

W tabeli precyzji wspomnieliśmy, że są naboje precyzyjniejsze, inne zaś — mniej nadające się do precyzji. W czem tkwi różnica?

Kształt balistyczny. Na odległości do 300 mtr. kwestja kształtu pocisku nie odgrywa dużej roli, ujawnia się ona w całej pełni dopiero w dziedzinie broni wojskowej na odległości duże. Dlatego też nie można twierdzić, aby pociski torpedowe miały przewagę nad ostrymi typu „S", a te znów nad ostrołukowymi. Oczywiście, dużą rolę natomiast odgrywa stosunek szybkości początkowej w stosunku do wagi i kształtu pocisku; pociski zbyt lekkie i o przesadnej szybkości początkowej nie są precyzyjne. Wogóle można twierdzić, iż z pomiędzy dwuch pocisków jednego kalibru precyzyjniejszy jest pocisk cięższy.

Dobranie prochu do wagi pocisku, jego kształtu i długości lufy jest rzeczą bardzo ważną. Lufy dłuższe pozwalają na prochy palące się wolniej i regularniej, na bardziej równomierne rozłożenie ciśnienia. Lufy krótkie wymagają prochów bardziej szybkopalnych.

Dużą rolę odgrywa czynnik zwykle niedoceniany, to kształt łuski, w zależności od użytego prochu. Nowoczesne prochy bezdymne nie działają dobrze, jeżeli są stłoczone i łuska nie zawiera dostatecznej ilości wolnego powietrza. Wszystkie naboje przeładowane, t. j. takie, w których zwiększono ilość prochu dla uczynienia ich bardziej nowoczesnymi — przy większej szybkości początkowej, tracą przeważnie na celności. Typowym przykładem jest nabój Mauser 8 mm., który przy dawnym ładunku: pocisk — 14 gr. i 2,6 gr. prochu, — jest precyzyjniejszy od nowoczesnego: 3,20 gr. prochu i 10 gr. pocisk. Dlatego też nowy pocisk Mauser Magnum 8 mm. mający łuskę o 3 mm. dłuższą, zapewnia lepsze spalanie się prochu, gdyż daje więcej powietrza. Ważna jest także kwestja kształtu łuski. Ramiona winny

być spadziste, a nie ostro załamane; faktem jest, że łuski, w których przejście z części grubej do szyjki pocisku jest zbyt nagłe, nie zapewniają dobrej precyzji (Savage 22 H. P.).

W dziedzinie kalibru i budowy pocisku istnieje cały szereg najrozmaitszych teoryj i przypuszczeń, wspomniemy tylko o paru z nich najbardziej logicznych i narzucających się pod względem prawdopodobieństwa. Kalibry małe — poniżej 6,5 mm. stawiają konstruktorowi duże trudności, jeżeli precyzja ma być zachowana. Przy dużych szybkościach początkowych użycie jednolitych pocisków ołowianych jest niemożliwością, musimy stosować pancerz niklowy. Pancerz ten musi być bardzo cienki, bo inaczej, przy małym kalibrze stosunek metalu lekkiego — niklu, do rdzenia ołowianego, ciężkiego byłby bardzo niekorzystny i spowodowałby ogólną lekkość pocisku (małe obciążenie przekroju). Znowuż przy cienkim pancerzu gwinty broni również muszą być bardzo płytkie, aby go nie przecięły, dzięki temu bardzo prędko zużywają się od tarcia samego pocisku, czyszczenia i t. p., i następuje szybkie utracenie celności. Przecięcie zaś pancerza przez gwinty grozi rozleceniem się pocisku w locie i oczywiście zupełną utratą celności. Zagadnienie to nie zostało właściwie dotychczas pomyślnie rozwiązane i sztucery o bardzo małym kalibrze — Savage 22 H. P. i inne. nie odznaczają się ani wyjątkowo dobrą precyzją, ani też trwałością lufy.

Z powodu wszystkich przytoczonych powyżej względów, na istniejące już naboje sztucerowe ustaliły się pewne poglądy balistyków odnośnie tego, w jakim stopniu są dobrze zbudowane i nadają się do uzyskania bardzo wysokiej precyzji. Do naboi uważanych za najlepsze należą następujące:

Naboje starsze: Schönauer 6,5 Springfield 30 (7,62), Winchester 25 -- 35 (6,5 mm.), wreszcie rzadko u nas spotykany, szwedzki nabój wojskowy, zastosowany do broni myśliwskiej — Mauser 6,5 $\times$ 55 oraz Mauser 7$\times$57.

Z naboi nowych, ostatnio wyprodukowanych: 7 mm i 8 mm Brennecke oraz 8 $\times$ 60 Mauser Magnum.

W następnym artykule zajmiemy się kwestją precyzji praktycznej, a więc precyzji strzału strzelca w różnych warunkach.

J. PODOSKI.

WYSTAWA PSÓW.

Wystawa psów odbędzie się nieodwołalnie w dniach 24 — 27 maja r. b. w Warszawie w Bagateli. W dniach 24 i 25 będą wystawione psy myśliwskie, w dn. 26 i 27 pozostałe. Ze względów organizacyjnych pożądane jest jaknajśpiejszniejsze nadsyłanie zgłoszeń do Komitetu Wystawy, który się mieści przy ul. Kopernika 30 i udziela wszelkich potrzebnych informacji. Wystawa zapowiada się znakomicie.

Z MAŁOP. TOW. ŁOW.

Na posiedzeniu Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego postanowiono urządzić tegoroczny zjazd wyjątkowo dopiero w pierwszych dniach września w czasie Targów Wschodnich. Zachodzi bowiem obawa, że wobec ciężkiego przesilenia gospodarczego i panującej stąd depresji, zjazd urządzony w zwykłym terminie czerwcowym zawiódłby w zupełności.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

— **W ordynacji Dawidgródeckiej** ks. Karola Radziwiłła w bieżącym roku padło na tokowiskach czterdzieści cztery głuszce. Ilość tokowisk wzrosła do dwudziestu ośmiu. Stan głuszców z rokiem każdym podnosi się.

— **O walkę z kłusownictwem.** — Z poleceniem uwadze Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i referenta łowieckiego przy ministerstwie rolnictwa, — „Łowiec" zamieścił wiadomość, że w Zdołbunowie p. aptekarz Kruk przyłapał kłusownika, który zabił kotną samicę bobra. Starostwo ukarało kłusownika grzywną 20 zł., podczas gdy tenże za skórę bobra wziął od żyda 5 rubli carskich w złocie.

— **O kagańce i smycze.** — W sprawozdaniu ze swej działalności Polska Liga Przyjaciół Zwierząt zaznacza, że zwracano się niejednokrotnie do Dep. Weterynaryjnego, tłumacząc, że zakładanie kagańców psom. wścieklizny nie zwalcza, gdyż przypadki wścieklizny w Warszawie powstają przez zarażanie się od psów z okolic podmiejskich. Przepisy muszą uledz zmianie. Źródło choroby tkwi na wsi, gdzie psy trzymane w nieodpowiednich warunkach, więzione nocą i dniem na zbyt krótkich łańcuchach, przeważnie źle karmione i niepojone, częstokroć ulegają wściekliźnie.

— **Z ogrodów zoologicznych.** — Synowie dyr. Messinga, młodzieńcy Jasio i Niko, pochwycili w lesie dwie sowy, które przekazano jako dar, ogrodowi zoologicznemu w Warszawie.

W tymże zwierzyńcu urodzonych niedawno troje lamparciąt udusiła własna ich matka. W roku zeszłym tutaj również lwica Sylwja udusiła swe małe, natomiast w tym roku jest najtroskliwszą matką noworodzonych lwiątek.

Żubr, sprowadzony z poznańskiego ogrodu zoologicznego, jest najwidoczniej chory. Popada w przewlekłe okresy melancholji, bądź podlega nagłym atakom furji. Niedawno rozwalił w drzazgi część zagrody drewnianej. Weterynarze, uznając stan żubra za chorobliwy, usiłowali się zbliżyć do niego, ale jak dotąd, nadaremnie. Zawiodły dotychczas również próby skrępowania zwierzęcia, odznaczającego się niezwykłą siłą.

Ze zwierzyńca poznańskiego podczas czyszczenia klatek uciekł flaming. Ponieważ nie zdołano go złapać, dyrekcja ogrodu prosi, ażeby ptaka, który być może, opuści się gdzieś, nie zabijając, zwrócić Ogrodo-

wi za nagrodą. Flaming jest różowy i podobny z wyglądu do bociana.

— **Niedźwiedzie w Łunenieckiem.** — W opisie wycieczki do powiatu łuninieckiego, zamieszczonym w organie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego „Ziemi" p. Juljan Suski podaje między innemi: Po drodze do Ludwikowa w lasach żyje niedźwiedź dość pospolity jeszcze w tej części Polesia i wchodzący nawet w rachubę, gdy się mówi o szkodach w rolnictwie, hodowli i pasiekach. W innym punkcie drogi, koło Czuczewicz w borze sosnowym, jest ciekawy system zabezpieczenia uli przed niedźwiedziem — w postaci przegrody z desek, przybitej do drzewa w formie kręgu, a przeszkadzającej misiowi we wspinaniu się.

— **Gawron z Moskwy.** — Do urzędu wojewódzkiego w Warszawie dostarczono ze starostwa przesnyskiego, gawrona zastrzelonego pod Przasnyszem. Pochodzi on aż z Moskwy, na co wskazuje zakuta na jego nodze obrączka metalowa z różnymi znakami, cyframi i z napisem „Moskwa".

— **Wyprawa myśliwska ks. Walji.** — Następca tronu Wielkiej Brytanji odbył wyprawę do Afryki Wschodniej i Środkowej i wziął udział w wielkiej wyprawie na słonie w ziemi Mangu. Polowaniami w czasie ekspedycji dyrygował znakomity myśliwy, przyjaciel następcy tronu, sir Denis Finche-Hetton. Spędził on kilka lat w sercu czarnego lądu i jest jednym z najlepszych znawców tubylców i polowań. Razem z ks. Walji na polowaniach posługiwali się aparatem fotograficznym i kinowym. Nabrali takigo zamiłowania do zdjęć kinowych, że ks. Walji oświadczył, iż odczuwa obecnie większe wzruszenie, biorąc zwierzę na muszkę kino-aparatu, niż na muszkę strzelby.

Zdjęcia filmowe z życia dzikich zwierząt w Afryce mają ogromne powodzenie i wcale nietylko jako filmy dla młodzieży.

W czasie tych zdjęć miał ks. Walji i jego towarzysz wypadek zupełnie wyjątkowy. Na samochodzie zbliżyli się oni do ogromnego lwa wypoczywającego. Gdy znajdowali się w odległości 15 metrów od niego, król pustyni wstał, doszedł do samochodu, obejrzał go i począł gryść gumy, a przekonawszy się widocznie, że to nie jest specjał, odszedł.

Książę i jego przyjaciele pracowali przez te parę minut przy swoim kino-aparacie, otrzymując wspaniałe zdjęcie lwa i jego ruchów.

— **Wycieczka myśliwska.** — W Berlinie urządzono w kwietniu krajoznawczą wycieczkę myśliwską, w której uczestniczyło około 150 osób. Udano się do jednego z większych rewirów, gdzie łowczy miejscowy oprowadzał wycieczkowiczów i udzielał im objaśnień. Rozpoczęto od pokazu wypchanej zwierzyny. Następnie pokazano różne pułapki i żelaza, ustawione w rewirze. Okazując kolekcję rogów, przewodnik wyjaśnił, które należały do sztuk nadających się do odstrzału. W rewirze napotykano liczne rudle sarn. Obserwowano sporo cietrzewi. Doprowadzono do jamy borsuczej i lisiej. Przydałaby się podobna wycieczka także u nas.

— **Psy w Anglji.** — W roku 1929-ym Anglja posiadała 357 sfor psów do polowania „par force". Sfory te obejmują zgórą 10.000 psów gończych. Ogólna ta liczba dzieli się jak następuje: Anglja właściwa i Walja mają 297 sfor, obejmujących 8515 psów, Szkocja — 13 sfor (387 psów), Irlandja — 47 sfor (1259 psów).

— **Polowanie „par force".** — Parlament angielski uchwalił ustawę, zabraniającą urządzania polowań „par force" na jelenie. Wolno jedynie w ten sposób polować na lisy, lecz prasa angielska zaznacza, iż spodziewać się należy zupełnego zakazu polowań „par force".

— **Ochrona zwierząt we Francji.** — Z inicjatywy p. René Richard, deputowanego z okręgu Deux-Sèvres, powstała w Izbie francuskiej Grupa Ochrony Zwierząt, do której przystąpiło 163 deputowanych wszystkich odcieni politycznych z wyjątkiem komunistów. Zebrani upoważnili prezesa Richarda do zgromadzenia w jeden materjał, różnych przedstawionych dotąd Parlamentowi francuskiemu projektów ustawy o ochronie zwierząt, oraz prawodawstwa międzynarodowego w celu rozpatrzenia się w niem dla szybkiego stworzenia nowej ustawy. Zawiązała się też Konfederacja Francuskich Tow. Ochrony Zwierząt (Confédération des Societés Protectrites des Animaux de France) z głównem siedliskiem w Lyonie (113, Avenue de Saxe), która ma na celu zespolenie myśli, idei i metod wszystkich koncepcyj zoofilskich.

Wiadomości handlowe.

× **Ceny futer.** — „Przemysł Skórny" podaje następujące ceny skór w Lublinie około dn. 1 b. m. Na rynku futer notowano w zł. za sztukę: Lisy 100 zł., kuna „kamienna" (kamionka) 180, — „krzakowa" (leśna) 100 zł., borsuki 18, tchórze zimowe 30, — gronostaje 30, norki —, wydry 20 — 200, zależnie od jakości i wielkości. Zapotrzebowanie wewnątrz kraju małe, zaś do Ameryki bardzo duże. Podaż duża. Tendencja słaba. Sezon na skóry zwierzęce w surowym stanie trwa przez okrągły rok ze względu na zapotrzebowanie masowe ze strony eksporterów amerykańskich.

× **Kanadyjska produkcja futer.** — Podczas gdy Niemcy, mające bardzo rozpowszechnioną hodowlę zwierząt futerkowych, liczą niecałe 400 ferm hodowlanych, to Kanada posiada ich 4371! Z tej liczby w 3676 fermach hoduje się srebrne lisy, w 268 — norki, w 216 — piżmowce. Wartość tych ferm wynosi 22.613.891 dolarów, z czego same zwierzęta kosztują 16.113.000 dol. Zwierząt hodowano 258.375 sztuk, z czego na lisy przypada 71.529, na norki 5028.

Niedawno zaczęto hodować także borsuki, których już jest 113 sztuk. W r. z. sprzedano 25.958 zwierząt, za 3.760.470 dol., z czego lisów sprzedano 17.136.

Ceny wszelkich zwierząt poszły w górę w roku zeszłym. Wyjątek jednak stanowiły bobry, piżmowce, gronostaje i dzikie koty. Bobrów kanadyjskich jest 54.336 sztuk, które przedstawiają wartość 1.451.573 dolarów.

W celu ochrony bobrów, żyjących na wolności w Kanadzie, władze kanadyjskie wydały surowe przepisy ochronne.

× **Przeciwko nudzie na letnisku.** — Najciekawsze książki, pochłaniane jedna po drugiej, wkrótce nas zmęczą i znudzą. Ale piękne, czyste brzmienie głosu artystów, subtelne utwory mistrzów, muzyka koncertowa lub taneczna — oto co daje niezastąpioną rozkosz artystyczną, rozmarza, budzi wspomnienia, czaruje, rozprasza szarą mgłę nudy.

Gramofon **Orpheon** Nr. 2 lub Nr. 3 w solidnej skrzynce dębowej, o doskonałym mechaniźmie, przegrywającym 3 strony płyty — oto niezastąpiony przyjaciel naszych wakacyj na wsi, a zarazem czynnik kultury muzycznej starszych i młodzieży. Ceny zł. **300, 360 i 385.** B. Rudzki, Warszawa, Marszałkowska 146 i 87.

× **Sprawy samochodowe.** — Warsztaty reparacyjne Towarzystwa Budowy Samochodów „AS", mieszczące się przy ul. Złotej 64, dom własny, posiadają trzy hale.

W pierwszej dużej hali, t. zw. zajezdni, dokonywuje się lustracja wozów, oraz drobne remonty. Hala jest wyposażona w szereg warsztatów, pozatem posiada narzędziarnię nowoczesną, oddział elektrotechniczny, blacharnię, w której masowo są wyrabiane chłodnice; kuźnię, lakiernię, tapicernię oraz jadalnię i szatnię dla robotników. Wzdłuż hali po obydwuch stronach są umieszczone kanały, na które wtacza się wozy, ułatwiając w ten sposób dokonywanie remontu. Pod halą omawianą znajduje się druga hala połączona z pierwszą pochylnią, przeznaczona na skład dla wozów gotowych.

W drugiej hali znajduje się szereg precyzyjnych maszyn, a więc: dwie frezarki do wyrobu trybów zębatych, szeping do heblowania, samoczynna maszyna-automat do wyrobu trybów stożkowych, 5 tokarni, tokarnia rewolwerówka do masowej produkcji drobnych, toczonych części (mutry, śruby), dwie bormaszyny, szlifierki i t. p. Od ulicy mieści się sala wystawowa, a dalej biura Towarzystwa.

Zainteresowanie wzbudza świeżo montujący się 120 konny samochód marki „AS", pretendujący w tegorocznym raidzie samochodowym o palmę pierwszeństwa.

Sprostowanie. Na okładce Nr. 19 podpis brzmieć powinien: Fot. Zygm. Biedrzycki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. **Numer ozdobny** 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Drobne ogłoszenia: wiersz 1 zł. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobode czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

W zwierzyńcu.

— Przepraszam, czy ten słoń ma dwa ogony?

— Nie, proszę pana; to, co pan uważa za ogon, jest trąba.

„Ornitolog".

W szkole. — Jakiego ptaka Noe wypuścił z arki? — pyta nauczyciel w szkole.

Malutki chłopiec woła: — Gołębia.

Nauczyciel: — Dziwię się, że najmłodszy uczeń w klasie zna najlepiej historję świętą.

— Panie profesorze, jego ojciec handluje ptakami. To dlatego, — objaśnia jeden ze starszych.

Na polowaniu.

— Cóżeś zastrzelił?
— O! tego ptaka, co tam leci.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.